



Szacowni Goście, Znakomici świadkowie!

Kapitułka przyznania tegorocznej TABULKI, tak na dobrą sprawę nie zdążyła się zebrać, a już wybrała autora, któremu przyznała honorowy tytułu Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej – Optimus Auctor Silesianus Anno Domini MMXVI.

Wytypowany do prezentacji postaci długo stałem bezradny, a muszę powiedzieć, że i zrozpaczony, gdyż bezmiar dokonań dzisiejszego majstra śląskiego jest przeogromny. Z konfuzji wybawił mnie żart literacki, który swego czasu popełniłem na czas świąt Bożego Narodzenia.

Pozwolą Państwo, że zaprezentuję go na dzisiejszej uroczystości.

Biblioteka Nocą niczym węgielny pylon często haczy o niebo. W całym tym industrialnym górnośląskim zamieszaniu mało kto dostrzega, nie tylko zaistniałą koincydencję, ale także zwykłą fizyczność faktu, szczególnie w tę grudniową noc. Być może dlatego, jestem tutaj sam, ale jak wszyscy wiemy, nie jestem samotny i co by nie gadać, podoba mi się to.

Chodzę sobie pustymi korytarzami nocnej biblioteki niczym czuwający strażnik w statku kosmicznym, mknącym po niebie do nieba – tak to wygląda.

Zaglądam w korytarze, o których niektórzy już zapomnieli, czy też nawet nie podejrzewali, że mogą w ogóle istnieć. Ale też zatrzymuję się przed niektórymi, do których wejście nie zawsze jest rozwiązaniem szczęśliwym. Należy być zatem czujnym, aby nieroztropność lub zwykła pycha nie sprokurowały zdarzeń, których skutki mogłyby mieć charakter lawiny. Z niemałym zdziwieniem stanąłem zatem w otwartych drzwiach działu czwartego, mieszczącego się na samej górze biblioteki. Jak wiemy, ojcowie założyciele, opracowali w XIX w system klasyfikacji zbiorów bibliotecznych zwany dzisiaj Uniwersalną Klasyfikacją Dziesiętną. Wytyczono działy główne oznaczone cyframi od 0 do 9. Jednak w roku 1964 tematykę z działu czwartego włączono do działu ósmego, aby zrobić miejsce dla pozycji z nieznanymi do tej pory dziedzin. Tym samym tzw. „czwórka” stała się miejscem dla książek jeszcze nienapisanych.

Tak więc stojąc w drzwiach działu czwartego, w pierwszym odruchu chciałem się wycofać. Zmotywowany jednak dźwiękami pieśni Jozefa Mohra i Franza Grubera, o dziwo przenikającymi z zewnątrz, przez grube mury biblioteki, postanowiłem wejść do środka. W końcu czas świąteczny, to czas świąteczny.

Decyzja być może była nie do końca rozważna, ale jakże przyjemna. Ogarnęło mnie bowiem zaraz ujmujące przeświadczenie oczekiwania. Było ono podobne do tego, kiedy jako chłopiec trzymałem nierozpakowaną książkę wyciągniętą spod skrzącej się kolorowo choinki, czekając końca uroczystej wieczerzy, aby czym prędzej w samotności móc ją otworzyć i poczuć świeży zapach papieru i druku, który był zapowiedzią kolejnej niebywałej przygody. Zatem czekałem, trochę onieśmielony i trochę oślepiiony przez sączące się ze wszystkich stron światło. I rzeczywiście. Kiedy zmrużyłem oczy, karty książki, jak ptaki, siadały obok na pustej półce. Niespiesznie obserwowałem taniec, aż na końcu pojawiła się szara teczka, opadająca niczym ciężki, jakby nie do końca zeschnięty liść, z której wyciągnąłem karty okładki. Zrazu pustej, ale czy to dzięki magicznym siłom lub tylko w związku z oswojeniem się mego wzroku ze światłem, zauważyłem najpierw zarys zdjęcia małego górniczego miasteczka z dominantą świątyni, umieszczonej na tle chmur, a później napis „Fide et Labor”. Tuż nad tytułem książki z prawdziwą radością odczytałem, kto był autorem.

Karty nienapisanej do tej pory książki czytałem najpierw szybko, żeby nie powiedzieć, że zachłannie. Ale kiedy się zorientowałem, że nie mogę wrócić do interesującego wątku z poprzednich stronic, albowiem one rozmnażały się niczym w słynnej Borgesowej „Księdze piasku” – co biorąc pod uwagę szybkość pisania szlachetnego autora nie powinno nikogo

dziwić – zwolniłem. W końcu i tak w dziale ksiąg nienapisanych czas płynął zupełnie niestandardowo (znawcy przedmiotu uważają, że czas tam w ogóle stoi w miejscu, ale myślę, że jest w tym trochę przesady, gdyż jakoś nie mogłem sobie wyobrazić czasu bez czasu – z drugiej zaś strony, jak mawiają teolodzy, widać słaba jest moja wyobraźnia).

W pewnym momencie z wielowątkowej narracji, raczej natury poetyckiej, a momentami wręcz teologicznej, ku memu zaskoczeniu wyłoniła się powieść. I muszę powiedzieć, że wcale nie byłem zdziwiony, gdyż autor wypowiadał się do tej pory tak płodnie i w tak różnych formach, że napisanie powieści było by dla niego aktem wielce prawdopodobnym. Akcja powieści działa się w wigilijną noc w pszowskiej bazylice. W pierwszej chwili wydawało mi się, że głównym bohaterem był ksiądz sprawujący mszę świętą, ale po chwili zorientowałem się, że miałem do czynienia z bohaterem zbiorowym, czyli z wszystkimi uczestnikami nabożeństwa. Z ich myślami, niejednokrotnie odbywającymi eskapady dość zaskakujące, ale przecież nieodmiennie powracającymi do miejsca i czasu opisanego w świątyni. Z ich przeszłością utkaną raz grubą nieobrobioną dratwą, raz jedwabną nitką, gdzie wiara i praca nawzajem się przeplatały, wspierając się nawzajem, a bywało, że i wzajemnie się zastępując. Przy tym pamiętałem, jak w innym miejscu autor przypominał, że miłość nie jest Bogiem, ale Bóg miłością tak. Czytając powieść byłem w kościele z wiernymi, a i przecież z paroma ateuszami, którzy przyszli tam z całkiem innych powodów. Zagłębiałem nie tylko w ich przeszłość, ale i przyszłość, która choć nie zawsze była różowa, a bywało, że skwierczącym bólem dotykała same jądro serca, była przez nich przyszłością oczekiwaną. Kiedy im się wszystkim przyglądałem, zrozumiałem, że nie byli to obcy ludzie. Były tam osoby, które znałem z innych utworów autora, a przy tym, co zawsze się zdarzało, kiedy czytałem szlachetnego autora, miałem wrażenie, że znałem je osobiście. Rozpoznałem przecież naszą nauczycielkę, która choć wiele nas nie nauczyła, była prawa, nawet wtedy, gdy nie trzeba było i sąsiadkę waleczną z drugiego piętra, co to uparcie wierzyła w męża, zaglądnącego zbyt często do kieliszka i babulinę, która wiernie co czwartek stała na targu z żurem, a nawet tę dziewczynkę w żółtych rajstopach. Być może to miejsce, pod obrazem Matki Bożej Uśmiechniętej wpływało, że jak ona patrzyłem na przedstawionych bohaterów dobrotliwie. Bez wyjątku. Przy tym i na siebie patrzyłem dobrotliwie. Z nadzieją. Miłością. Bez lęku. Pewny zwycięstwa. Być może świąteczny czas wytwarzał w opisywanej świątyni nad wyraz widzialną smugę drgającego błękitu, który był zaledwie wstępem. I czytając czułem to. Wiedziałem to. Skąpany błękitem już zawsze będę czuł jego zapach.

W ciągu dnia niezwykle trudno trafić do opisanej przeze mnie „czwórki”. Ale przecież tyle jest książek dzisiejszego bohatera w pozostałych działach, że można iść do jakiegokolwiek biblioteki i sobie jedną z nich wypożyczyć. Albo kupić w księgarni. I pięknie poczytać. W końcu czas świąteczny, to czas świąteczny. Podarujmy go sobie.

Szanowni Państwo!

Tytuł Optimus Auctor Silesianus Anno Domini MMXVI otrzymuje oczywiście majster nad majstry ks. Jerzy Szymik.

*Krystian Gałuszka
Ruda Śląska, 20 października 2016 r.*